

# Nowełe



MARIA KONOPNICKA

 SAGA  
EGMONT

# Nowełe



MARIA KONOPNICKA

 SAGA  
EGMONT

Maria Konopnicka

# Nowele

Saga

*Nowele*

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

Copyright © 1897, 2021 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728055632

1. Wydanie w formie e-booka  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

PANNA FLORENTYNA.—STACHO SZAFARCZYK.—  
KRYSTA. — NIEMCZAKI. — ZE SZKOŁY. — Z  
WŁAMANIEM. — MARYANNA W BRAZYLI. — PODŁUG  
KSIĘGI. — JESZCZE JEDEN NUMER. — ONUFER.

## Panna Florentyna.

Padam do nóżek pani...

— O, panna Florentyna!

— Ciii... proszę pani, cii!... Bo to właśnie stróż z naszej kamienicy tam stoi...

— Więc cóż?...

— Co tam, proszę pani, ma kto wiedzieć, że ja panna!

— A cóż to szkodzi?

— Ee... Zawsze jakoś! Co tam ludziom po tem!

— No, ale stróż i tak najlepiej wie z meldunku.

— A, nie, nie wie! Właśnie, że nie wie!

Zniżyła trochę głos:

— Ja się tu za wdowę podalam.

— W imię Ojca i Syna! A to po co?

— Zawsze jakoś, proszę pani, porządniej! Panna, to tam sobie taka hołota różnie tłómaczy, tak i tak; a wdowa, no, to wdowa! Dużo porządniej, dużo! Mam sobie czepeczek świeżutki, bielutki, wyprasuję, wyrurkuję, od rana włożę, i jest. Co tam ma kto wiedzieć!

Patrzyłam na nią zdumiona.

Stała przedemną prosta, chuda, trochę sztywna, w czarnej, wełnianej, bardzo czystej, wytartej i gęsto wycerowanej sukni, w czarnej okrywce, którą widocznie sama sobie uszyła, w wyrudziałym kapeluszu i w nicianych rękawiczkach. Jej energiczna, śniada, srodze wymizerowana twarz świeciła gorączkowem spojrzeniem ciemnych, głęboko zapadłych, podkrążonych oczu i czerwonością warg drobnych, spieczonych. Gładko zaczesane na wklęsłych skroniach włosy czyniły ją znacznie

starszą, niż była, a podłużna rysa na nizkiem, szorokiem czole całej fizyognomii nadawała jakiś bolesny i dumny wyraz.

Widząc, że ją obserwuję, uśmiechnęła się, żeby rysę ową rozpędzić, ale daremnie.

— Czy może, proszę pani, jest robota jaka? Mam teraz właśnie trochę wolnego czasu...

— Owszem, będzie. Na jaki tydzień będzie.

— Ach, jak to dobrze! Tylko — zamyśliła się i nagle urwała — tylko, że jabym to może wolała do domu wziąć... Zawsze porządniej w domu szyć, niż na dnie chodzić... Jak w domu szyję, no to dla siebie mogę szyć. Co ma kto wiedzieć? Do meldunku podałam: wdowa po urzędniku. Przecie i ojciec nieboszczyk urzędnikiem w magistracie był... Tylko znów w domu zimno wielkie, nie pali się, jak raz dnia, wilgoć straszna...

Spuściła głowę, niepewna jak się zdecydować. Gruba rysa na czole pogłębiła się jeszcze.

Ja myślę, że lepiej do nas. Jakoś panna Florentyna mizernie wygląda. Każę zrobić dobry rosół, posilny...

— Ja to wiem, wiem! — rzekła trzęsąc głową. — Tylko... takbym właśnie teraz jakoś nie chciała... Dopiero co się tu sprowadziłam z Lipowej...

— Jakto z Lipowej? Wszak panna Florentyna mieszkała, zdaje się, na Złotej?

— O, to już dawno, proszę pani, dawno! To jeszcze w tamtym kwartale! A jakże, na Złotej. Tam było ciepło!... W pralni palili cały dzień, aż przez ścianę buchało. Bardzo tam dobrze było... Wszędzie blisko. Cóż kiedy nie mogłam!

Nagle podniosła głowę.

— To już tak zrobię. Powiem w domu, że lekcyje na mieście mam, i przyjdę. Dobrze, proszę pani? Zawsze porządniej niż szycie...

— Dobrze, jeśli pannie Florentynie na tem zależy...

— Bardzo, bardzo mi zależy, proszę pani! Co ma kto wiedzieć!...

— No, to może panna Florentyna zaraz ze mną pójdzie? Obejrzymy, jaka to tam robota. Obiad też niedługo podadzą...

Zamigotała parę razy pociemniałymi powiekami i westchnęła zcicha.

— Dobrze, proszę pani. Pójdę... Dziękuję!...

Podniosła głowę, zwróciła ją przez ramię za siebie i zmrużywszy oczy rzekła dość głośno do stojącego przed bramą stróża:

— Walenty! Proszę powiedzieć w domu, jakby list przyszedł, albo co, że jestem proszona na obiad do Frascati, i że dopiero wieczorem wrócę!

Stróż obojętnie słuchał tego wyjaśnienia, stojąc w bramie w rozpiętym kożuchu i paląc papierosa. Nie spojrział nawet w tę stronę.

Panna Florentyna za to patrzyła na niego ciągle zmrużonemi oczyma i nie odwracała wysoko podniesionej głowy. Po twarzy jej, która nagle jakby skamieniała w maskę nieugiętej dumy, latały płomienie tryumfu; nozdrza jej prostego nosa rozděły się szeroko, drobne usta drżały nieco, zwłaszcza górna warga, wżgardliwym rysem ściągnięta i odchylona nad białemi, bardzo równemi zębami.

— Walenty słyszy? — dodała głośniej, doczekać się nie mogąc odpowiedzi stróża.

— Toć słyszę! — odrzekł leniwie. — Aktoby się ta pytał! I rzucając niedopałek, szeroko przed siebie plunął. Te wielkie miny nie imponowały mu jakoś.

— No! — rzuciła przez ramię panna Florentyna, ucinając tym sposobem wątpliwość stróża, poczem majestatycznie odwróciwszy ciągle jeszcze wysoko podniesioną głowę, szła obok mnie czas jakiś sztywna, wyprostowana, milcząca.



Na zakręcie ulicy dopiero westchnęła i spuściła oczy.

— To, proszę pani, dla panienek robota?

Pytanie to tak proste, wypowiedziane było z widocznym niepokojem. Nie była sztuki swej pewną. Właściwie mówiąc, szyć nie umiała prawie.

— Tak, dla dzieci. Bieliznę trzeba przejrzeć, posporządzać... Panna Florentyna wie, jak to tam...

— O, to — podchwyciła z zapalem — to już ja porządnie zrobię. W nocy przysiedzę, a zrobię!

— Nic pilnego. I tak jakoś panna Florentyna nieosobliwie wygląda... Jakże tam ze zdrowiem?

— Nie tak źle, proszę pani, nie tak źle. Teraz się jakoś trzymam...

Wyprostowała się jak struna i zacięła usta. Energiczne rysy jej wynędzniałej twarzy miały w sobie wyraz niemal męskiej siły.

— A matka?

— Ach, to pani, proszę pani, jeszcze nie wie o niczem? Postać jej nagle schyliła się, zmaląła, twarz zagasała, głos złamał się i drżeć zaczął.

— Nie wiem...

— Prawda, żem to ja już dawno nie szyła u pani! Umarła matka...

— Umarła? O... biedna! biedna!..

Panna Florentyna wyprostowała się znowu. Oczy jej błysnęły.

— O, proszę pani! Toć to szczęście od Boga, że umarła!

— Może... może i tak! Może jej i lepiej...

— Ale i mnie, proszę pani, i mnie! — zawołała załamując ręce z dziwnie namiętym gestem. — I jej lepiej, i mnie lepiej!

Usta jej zbladły, twarz pociemniała aż do zarostu szerokiego czoła. Szła chwilę tak, ze splecionymi kurczowo

palcami i, ze wzrokiem w ziemię wbitym, a jęk głuchy podnosił od czasu do czasu jej zapadłe piersi.

Czułam ogromną przykrość z tego obrotu rzeczy. Po co było mi wspominać o matce?..

— Moja panno Florentyno — rzekłam serdecznie, ale mi do słowa przyjść nie dała.

— Wszystko powiem, proszę pani! Przed panią, jak na świętej spowiedzi, nie mam się co kryć! Wszystko, proszę pani, powiem!

Zatrzymała się, zwrócona ku mnie, i podniosła oczy. Gorzały pośępnie ciemnym ogniem niezgłębionej troski. Jak trzymała załamane ręce, tak je podniosła i do piersi przycisnęła gwałtownie. Około ust drgały jej mięśnie jakimś bolesnym wysiłkiem. Niewymowny wyraz udręczenia przebijał w całej postaci.

Dotknęłam jej splecionych palców.

— No, proszę, panno Florentyno, proszę się uspokoić! Nie mówmy na ulicy o tych smutnych rzeczach! Chodźmy!..

Poruszyła się posłusznie z miejsca, ręce jej wzdłuż sukni opadły i szła tak przez chwilę w milczeniu.

Ale kiedy się znalazła po za ogrodową bramą, w głębokiej perspektywie długiej i pustej alei, nad którą szumiał wiatr górny, wierzchołkami bezlistnych drzew lecący, stanęła znowu i wpatrzyła się we mnie z jakąś chciwością, z jakąś żądzą niemal wypowiedzenia wszystkiego.

Jej drobna, szczupła postać, jeszcze drobniejszą, jeszcze bardziej zmizerowaną zdawała się w tym bladym, czystym świetle, jakie ją tu zewsząd objęło. Lata głodu, zwalczanego nieugiętą dumą, nędza odzieży, osłaniania skrętnie przed oczyma ludzi, cała ta smutna walka podjęta z losem, aby tylko utrzymać się po nad «hołotę», wszystko to wystąpiło teraz z jakąś bezlitością, szyderczą jasnością. Może to i sama spostrzegła, gdyż z nagłą determinacją zaczęła sucho i bezdźwięcznie:

— Z matką źle było, proszę pani!

Poczem zaraz spuściła głowę i cicho szła przy mnie, łamiąc się z tem wzruszeniem, które ją za gardło chwyciło.

— Pić nie piła — odezwała się po długiej chwili łagodniej już nieco — ale że podupadła strasznie na honorze! Ze wszystkim podupadła!

Obejrzała się prędko po stronach i zaczęła szeptem:

— Com to mówiła, proszę pani, że w Dobroczyńności jest, jakem leżała na tyfus w szpitalu, to nieprawda! Nie tak było!

Zaczerpnęła powietrza głęboko i po kilka razy, jak to czyni nurek, nim się rzuci w wodę.

— W kruchcie, proszę pani, w kruchcie u Bernardynów, z babami, dziadówkami siadywała! W kruchcie!...

Głos jej się podniósł z szeptu do głuchego krzyku. Zbiegły się brwi na szorokiem czole. Jasne, rześiste łzy trysnęły z pałających oczu. Ściągnęła rękawiczkę i prędko je starła dłonią, ale już został po nich ślad ciemny, wypalony jakby. Zaciąwszy usta milczała chwilę, przełykając z trudem falę łkania, która się tłukła po jej wązkiej, zapadłej piersi, ale której nie puściła na świat. Cała jej postać zresztą, prócz krótkich spazmatycznych wstrząśnięć w ramionach, spokojną była i cichą. Najbardziej może uderzała bezwładność rąk, które jakby z ołowiu ciążyły ku ziemi w prostych fałdach biednej czarnej sukni. Szeroko otwarte źrenice trzymała wbite przed siebie w drogę udaną zeszlęmi liśćmi, które się od chwili do chwili porywały za jakimś niewidzialnym podmuchem, drżąc, ulatując i napełniając długą, pustą aleję dziwnym szeptem.

Po chwili mówiła dalej:

— To, proszę pani, wracam ja ze szpitala do domu, a na drzwiach karta i stancya zamknięta. Idę do stróżki. Gdzie matka? Niema matki! Jeszcze mi ubliżyła ta niegodziwa, ordynarna kobieta! A coby tu matka robiła — powiada. —

Czegoby tu pilnowała? Tych pustych kątów? — powiada. — Co było — za komorne poszło. To, proszę pani, myślałam, że we mnie żółć pęknie! Ale nic po sobie nie okazuję... Co tam ma kto wiedzieć! Ach tak, mówię, zapomniałam, że matka miała wyjechać na prowincję do rodziny, bo tam mamy krewnych obywateli w lubelskiem. Tak, prawda! — mówię. A tu się tylko wszystko przedemną kołuje, ażem się o stół oparła. Tak mi ta dopiero fartuchem stołek ściera, siedzieć prosi. Ale nie siadła! Dziękuję ci, moja kobieto! — mówię do niej, kiwnęłam głową z góry i wyszłam. Wyszłam i myślę: co teraz? Bo gdzie my tam, proszę pani, jaką rodzinę na prowincyi mamy?... Może tam kiedyś dawniej...

Podniosła nieco głowę. Jakiś mały atak dumy powracał jej znowu. Ale wprędce się zatopiła w bolesnych wspomnieniach.

— To jeszcze tego samego dnia, proszę pani, obeszłam po znajomych, gdzie tylko miarkować mogła, że się czego dowiem i nic! Oczywiście, nie wprost, tylko tak z boku przepytывałam nieznacznie. Kamień w wodę! A szły u Bernardynów nieszpory wtedy z wystawieniem. Tak myślę, zajdę na błogosławieństwo... Poszłam. Wchodzę ja, proszę pani, w kruchtę, spojrzę jakoś znagła w bok, właśnie jakby mnie kto w tę stronę za włosy pociągnął, patrzę, siedzi matka między dziadówkami! Żem ja tam wtedy trupem nie padła, to nie wiem! To mi te nogi, proszę pani tak skamieniały, tak w ziemię wrosły, że ani w tę stronę, ani w tę! Jak słup! Całe szczęście od Boga, że ludzie gęsto szli i jakoś mnie sobą do kościoła wepchnęli. To mnie tak ta fala przez kościół niosła, jak woda... Tu organ huczy, tu światło, jak na rezurekcyi, a ja tylko oczy przymykam, a we mnie krzyk: «Góry, pagórki, nakryjcie mnie! Góry, pagórki, nakryjcie!...» Jak w tej pieśni, proszę pani, o sądzie ostatecznym... Dopiero się jakoś w kaplicy o mur oparłam, stoję. Aby nie paść! myślę, aby nie paść! aby ludziom

widowiska z siebie nie robić! A tu się nogi podemną trzęsą i poty biją na mnie, raz zimne, raz gorące, żem to dopiero po tyfusie wstała...

No, zwyciężyłam jakoś te słabości, nic! Ani nie wiem jak błogosławieństwo przeszło, bom już i nie widziała, co się koło mnie dzieje. Jedno mi tylko w głowie: Jak wyjść, co począć? Ludzi już sporo ubyło, co się ku drzwiom obróć, to widzę, droga przez kościół do samego ołtarza pusta. Podniosłam chusteczkę do twarzy, raz, że to niby na zęby; podniosłam drugi raz, aż nią zupełnie twarz do oczu prawie zakryłam, idę. A nic jeszcze nie wiem, co zrobię. Przedemną kilkoro ludzi się ruszyło, tak ja między nich. Już nawet nie przyklękałam, nie przeżegnałam się, tylko idę. To żebym, proszę pani, na stracenie szła, jeszczeby mi lżej było! Tu mi się nogi płaczą, tu w uszach szum, tu serce jak dzwon bije... Ludzie się na mnie oglądają, bo się na nich jak pijana toczę... Już drzwi niedaleko, już tylko przez próg — nie mogę!

Jak ślepa zawracam i uderzam w ludzi, ręce przed sobą i pod chór. Jakże tam nie padnę krzyżem, jak nie uderzę czołem o kamienie! To myślałam, proszę pani, że ze mną już amen będzie. A nie! Tak się we mnie wszystko targało, tak rwało, żem nawet umdleć nie mogła. I choćby tam wtedy śmierć przyszła, to moja męka by ją zwyciężyła...

Ucichła i milczała. Szłam obok zasłuchana z pochyloną głową, nie przerywając zwierzeń, ani biegu myśli.

— Powiadają, proszę pani — zaczęła po długiej chwili — że ziemia, choćby jaką żałość człowiek miał, wszystko wyciągnie z niego. Ale ja już i krzyżem na ziemi wyleżeć nie mogłam... Zerwałam się, przytuliłam do ściany, słucham...

Co się garść ludzi do kruchty wysypie, to w kruchcie podnoszą się głosy. A mnie tu febra aż trzęsie, aż każda żyłka we mnie truchleje, tak się boję usłyszeć, że i matka...

Zatykam uszy, zamykam oczy, a wszystko słyszę,  
wszystko widzę... Te ręce wyciągnięte, te wyżebrane  
grosze, te łachmany...

Chustkę do ust kładę, zębami ściskam, żeby nie krzyczyć  
głosem...

Wtem serce stanęło we mnie. Głos matki... Matka prosi...

Krew mi zahuczała w głowie, rzuciło mną we drzwi jak  
piorun, rozepchnęłam ludzi, do matki, za rękę i na ulicę!  
Tylko się te grosze posypały za nią. Nad Wisłą dopiero  
poczułam, że zimno, ząb mi o ząb szczękał. A już się robiła  
noc i niebo ze wszystkim ściemniało. Spojrzę, Wisła się  
bieli... pusto... Ścisnęłam mocno rękę matki, razem  
skończym — myślę — wstyd zmyję...

A matka, jakby to, proszę pani, poczuła, wyrwała mi  
rękę.

— Co ty — mówi — córko? Co ty?

Tak mi dopiero od tego głosu dusza, jakby ze snu  
przecknęła.

Załamalam rękę, patrzę, stoi przedemną taka drobna,  
słaba, nędzna, taka wystraszona, jak dziecko. W tej guni  
stoi żebraczej, z tym żebraczym kijkiem, z tą torbą... Tak we  
mnie dopiero uderzył płacz...

Milczała teraz długo wyczerpana, zgnębiona. Ale  
kiedyśmy już dochodziły do domu, zatrzymała się niepewna,  
i obróciła znowu twarz rozgorzałą ku pustej, długiej, pełnej  
głuchych szumów alei. Zawróciłam i ja wtedy, i szłam raz  
jeszcze tą posępną, dopiero co przebytą drogą. Kto wie, jak  
dawno ta ludzka dusza nie miała komu skrytości swych  
otworzyć?...

Zaraz też posłyszałam obok siebie ciche westchnienie  
ulgi i głos niski, stłumiony.

— Na Złotą nie było po co wracać, wzięłam stancję na  
Dobrej. Do dziś odżalować tego nie mogę! Sama tam,  
proszę pani, najordynarniejsza hołota! Co ja się

nacierpiałam między tymi ludźmi, to tylko Bogu jednemu wiadomo! Samo prostactwo, bez żadnej edukacji! Niema gorszej rzeczy, proszę pani, jak z taką zbieraniną w jednym domu mieszkać! Lepiej się wszystkiego odrzec! Żadnej delikatności, żadnego wychowania, żadnego uważania dla wyższego stanu!

Oczy jej pały, nozdrza drgały, mimowolnym ruchem zbierała fałdy ubogiej, czarnej sukni, jakby się jeszcze teraz bała otrzeć o swoich sąsiadów z Dobrej.

— Pokoik, jak pokoik, wcale był porządny. Student jakiś niedomieszkał, rzeczy zostały i teraz rządca wynajmował od siebie.

Była sofka, był stół, krzesła dwa, było łóżko, siennik, poduszka skórzana, ze wszystkim porządnie. Zaraz chustką okno zawiesiłam, bo podwórko małe, szyba w szybę do sąsiadów, na drzwi też, że były szklane w korytarz, fartuszek za firankę obróciłam, zamiotłam czysto pięknie, śmiecie w piecyku spaliłam i dobrze. Książek nawet jeszcze kilka zostało po tym studencie, więc tak ze wszystkim, proszę pani, było przyzwoicie, porządnie. Z matki tom zaraz przy moście te hadry żebrackie ściągnęła, okrycie z siebie zdjęłam, włożyłam na nią, a sama się chusteczką włóczkową odziałam. Chciałam z temi łachami do rzeki, ale mi matka wyrwała, w węzełek zwinęła i pod okrycie... Niech tam! — myślę — i tak zostało. Tej pierwszej nocy, tom matkę u maglarki jednej pomieściła, a sama poszłam na Senatorską aż do znajomych tapicerów... Bardzo porządni ludzie... Ona obywatelska córka i pensję w Kielcach kończyła. Od rana zaraz obleciałam po paniach, gdzie mi tam jeszcze co za robotę zostało, pozbierałam, i ten pokoik, proszę pani, wzięłam. Nie wiem nawet, czym tego dnia jedną bułkę zjadła, tyle było za tem za owem, biegania. Matce tylko zgotowałam herbaty, kupiłam serdelków, chleba. Ale kiedym, proszę pani, wieczorem spojrzała, tu matka w łóżku

biało zasłanem, tu wszystko pozatykane, nikt mi w okno, ani we drzwi nie patrzy, tu lampka się świeci, to jakby po najlepszym obiedzie, tak się tam na tej sofce skuliłam i tak miło spałam!

Nazajutrz, ledwo dzień, wyczesalam matkę ładnie, obleklam czysto, spódniczkę jej swoją ciepłą dałam, czepeczek ze szlarczką, kołnierzyk świeży, czysty, schludnie, biało, ażem ją ucałowała.. Moja mamu najdroższa — mówię — niechże tu marna spokojnie sobie siedzi! Dwa serdelki jeszcze są, chleb jest, herbata jest, niechże mama siebie zagrzeje, zje, chce, to sobie mama poczyta, chce, to się prześpi, aby okna nie otwierać i żadnych znajomości tu z tą hołotą!... Na wszystko mamę proszę o to, żadnych rozmów, żadnych gawęd, nic! Jak przyjdę, to sobie pogadamy, to się mama rozerwie, a teraz sobie siedzieć cicho, sza! Ucałowałam ją raz jeszcze w rękę, w głowę, bo to zawsze było jak dziecko... Poszłam. Tak mi Bóg poszczęścił, proszę pani, że już zaraz na ten dzień szycie u pani naczelnikowej dostała... Szyję ja, proszę pani, pod oknem, w stołowym pokoju, a sama się do siebie uśmiecham, tak mi na sercu letko, tak mi tylko te godziny migają. Przyszedł obiad, nieznacznie tam w papier i w chusteczkę kawałek pieczeni ze swego talerza schowałam; dzieci dużo, wszystko to się przepycha, krzyczy, nikt jakoś na mnie nie patrzył, myślę, dla matki będzie. Przyszedł wieczór, chciała mi pani naczelnikowa drugą szklanekę herbaty nalewać, podziękowałam, cukier tylko i bułeczkę do kieszeni, i do domu. To jakby mi skrzydła wyrosły, proszę pani, takem do tego domu leciała. Wchodzę w bramę, nic! Wchodzę na korytarz, a tu stoi kupa bab, matka między niemi, drzwi od stancyi otwarte, i rozmowa za pan brat, aż głucho!...

Jakby mi nogi, proszę pani, podciął, jakby na mnie ukropem chlusnął! Idę, matka mnie nie widzi, i precz



rozpowiada, a to, że córka ze szpitala wyszła, a to, że do szycia chodzi, a to, że ciężko... Tak tylko zęby ściełam, zmrużyłam oczy, przeszłam jakby nigdy nic, i dopieroż z proga:

— Mamo, proszę do pokoju!

Zatrwożyła się, idzie... Tak ja drzwi zamknęłam i do matki:

— To mama tak się szanuje?... — mówię. — To mama tak mój honor ceni? To mama takich znajomości szuka? Takiego towarzystwa? — mówię. — Jak mama się nie wstydzi — mówię — takim babom ordynarnym rozpowiadać, że ja do szycia chodzę, że w szpitalu leżałam?... Co komu do tego, gdzie ja chodzę? Ja mogę chodzić jako nauczycielka — mówię — albo do towarzystwa, albo do znajomych! Co mają ludzie wiedzieć? Co się im opowiadać? I komu to, komu? Nie mówię jakiej osobie z edukacją, z porządnego stanu, ale takiej hołocie, ordynarnej, ciemnej!...

A matka:

— A kiedy prawda, córko! kiedy prawda?...

— To co, że prawda! — mówię. — Jak bieda to ją zakryć, zataić, ale nie przed ludźmi z nią wyjeżdżać! Wstyd!

Tak już matka ani słowa. Siadła na łóżku, westchnęła sobie, siedzi.

Chodzę ja po pokoju, już mi się ten gniew w żal obrócił, już bym do matki leciała w ręce ją całowała, aż mnie porywa... Stałam przy oknie, spałam czoło o szybę, a we mnie akurat jakby co mówiło: Nie będzie tu dobrze, nie! Nie będzie tu tej spokojności, com sobie myślała, nie!...

Zgotowałam matce herbaty, podałam jej ten kawałek pieczeni, com przyniosła z szycia; wzięła bułkę, rozłamała, je... — Dobra pieczeń! — mówi. — Jak to, proszę pani, dziecko! Ale podnosi głowę, patrzy na mnie i pyta:

— A ty, córko, nie jesz?

— Nie, mammo! Nie głodnam — mówię. Ani już nie powiedziałam, że mnie dość nakarmiła żółcią. Musiała jednak pomiarkować, bo też przestała jeść, choć tam tego niewiele było.

Cieężko mi ta noc przeszła, proszę pani, a i matce też widać nie letko, bo słyszałam, jak się z boku na bok przewraca i wzdycha.

— Czemu mama nie śpi? — pytam.

— Śpię, córko! — mówi. — A ja precz słyszę, że nie. Tak wstałam, otuliłam ją swoim okryciem, ucałowałam i mówię niby to żartem:

— Spać, dziecko, spać!

A matka, jak nie chwyci moją rękę, jak ją sobie nie przyciśnie do piersi, do oczu, a tu jej tylko łyzy przez palce moje, jak te ziarna lecą...

Takeśmy się obie popłakały, przytuliły do siebie, i tak już tam do rana dospałam.

Z wielką niespokojnością wracałam nazajutrz do domu, ale że wszystko dobrze było na tę chwilę. Tylko matka wydała mi się jakaś poseępna, smutna, bez humoru. Co ja widząc, siadłam przy niej i zaczęłam jej powiadać to owo, co tam u państwa naczelników głośno przy herbacie czytali, o książkach, o obrazach, o inszych krajach. A matka nic. Podparła się, słucha, a widzę, że o czym innym myśli. Zatrzęsła wreszcie głową i mówi:

— Co ty mi córko, o takich górnych rzeczach powiadasz? To nie dla nas! — mówi. — My prości ludzie! My biedacy. Nam o tem myśleć, żeby głodu nie było, żeby z zimna nie drżeć...

— Mammo! — mówię — a przecieżmy, choć w biedzie, ale zawsze do dobrego rodu się liczym! Do wyższego! Toć ojciec urzędnikiem był! Toć mama sama ze szlachty!

— Co ród? — mówi — co szlachectwo? Nędza kat, córko... Jak się dotknie, to i szlachcica odszlachci!

A mówi głośniej coraz.

Tak ja:

— Cicho, mamó, ci-i-i-cho! Na miłość Boską, cicho!

Przez ścianę wszystko słycać!...

Bo co tam, proszę pani, za ściana? Przepierzenie tylko! A matka głośniej jeszcze:

— A czegoż ja się będę z moją nędzą przed ludźmi kryć? Czego się wstydzic? Czy to ja biedę wymyśliłam? Ty się — mówi — córko, od tych ambicyj, od tych honorów raz odżegnaj i żyj, jak można, jak się da. Jest bieda? Owszem! Niechaj ją ludzie widzą, niech słyszą, prędzej się jeden drugiego uzali, wspomóże, a choćby nie pomógł, lżej zawsze!

Tak ja tylko tych rąk, proszę pani, załamalam i słucham.  
— To mama — mówię — od takiej ordynarnej hołoty pożałowania chce? pomocy?

— A czemu nie? — mówi. — My jeszcze gorsza od nich hołota — mówi — bo tam z nich każdy na jakimś procederze siedzi, a my co?

Słucham ja, proszę pani, a jakby mnie kto po sercu krajał...

— To czemu — mówię — na pensję mnie było dawać, czemu mnie było edukować? Bom chodziła coś przez rok blisko na pensję, proszę pani, na Leszno.

A matka:

— Ojciec cię dawał, nie ja! Ojcu się tej parady, nie mnie, chciało! A to też ta pensya, to zaguba twoja! Ze wszystkim ci te honory w głowie przewróciły... Co teraz z pensyi masz?

— To, proszę pani, mało we mnie dusza nie omdlała! To te słowa, proszę pani, tak mi się wydawały, jak te kamienie w bajce... Co matka jedno rzuci, to jakby na milę drogi odemnie się oddaliła. Tylko, że w bajce od tych niemych murów oddalenie było, a tu od serca żywego... To jakby we mnie kto żyły pruł, rozciągał, coraz dalej, coraz dalej, na

jakiś inny świat... To matka tam, a ja tu... Już mi i w oczach ciemnieje, i coraz mniejsza się zdaje, już jej mało co i widzę... Tak się oddalała odemnie, tak precz szła...

Aż mnie trąci matka i mówi:

— A kolacya, córko?

To ten głos tak do mnie szedł, jakby gdzie przez wielką wodę huczącą... A to te myśli tak huczały we mnie, proszę pani!

Tak podniosłam się, wstrząsałam się i jak błędna przez stancję idę. A co na matkę spojrzę, to mi się taka obca jakaś zdaje, jakbym się przez tę chwilę sierotą została! A tak mi pusto na sercu, proszę pani, tak pusto, że nawet sobie nic myśleć nie mogę. Tylko czuję jakby mnie kto w dół, w studnię ciemną pchnął... Tom już i jeść nie mogła, i jeszcze się smutniejsza położyła tej nocy, niż wczoraj. Nic, tylko się do tej ściany tulę cała we łzach i szeptach: sierota ja! sierota! A nieprawda! Kiedym zrana do szycia szła, tom się ze trzy razy od proga wracała, żeby matkę zegnać, tak mnie sumienie uwierało, tak sobie rady nie wiedziałam, żem ją w sercu pochowała jakby... Już nawet taka mi myśl przyszła, żeby cały ten dzień zostać z matką, posługiwać jej, na spacer z nią gdzie iść, tobym się potem pani naczelnikowej wymówiła jakoś...

Wracam ja się z tem odedrzwi raz jeszcze, a matka:

— Idź już, idź córko! A proś znowu, żeby ci tam co z obiadu dali!

Jakby we mnie warem lunął! Już mnie i ta chęć odeszła zaraz. To mnie matka, proszę pani, tak mogła sądzić, że jabym, ja, proszę pani, o resztki z obiadu prosiła?.. To matce nie przyszło do głowy, że ten kawałek pieczeni, com go tamtego dnia przyniosła, to był mój, z mego talerza schowany, zarobiony szyciem. To myślała, że wyproszony, wyżebrany, i tak go spokojnie, z tym wstydem moim razem, jadła?.. Jeszcze chwaliła?.. Zatrzasłam drzwi, żeby już słowa

nie rzec, i tylkom się na schodach sparła i jęknęła głośno. Bo tak mi było, jakby mnie kto biczem przez twarz uderzył. Sama już nie wiem, jakem do tego szycia zaszła, jakem ten dzień przesiedziała nad igłą, ale że ta dalekość znów zaczęła między matką a mną, jak mgła, rość, rość... i tak mnie do niej grodzić, jakby murem! Powoli, ze zwieszoną głową do domu szłam, a prawdę mam rzec, to wołałabym wcale nie wracać, tylko przesiedzieć gdzie ten wieczór, nad Wisłą gdzie, w pustce, żeby mnie nikt nie widział, i żeby słowa nie potrzebowała przemówić. Ale żem kupiła dla matki trochę salcesonu, bo po tej rannej mowie nawet z własnego talerza wstydziłam się schować, więc musiałam wrócić.

Wracam, a matki niema. Wyleciałam na korytarz, serce mi się jak ptak po żebrach tłucze, słucham, a od suteryn, gdzie mieszkała praczka, matki głos... Ale to aż na schodach słycać...

— Tak, moja pani, tak! Wodzianka na rano, wodzianka na południe i to bez okrasy! Z solą tylko, moja pani, z solą!

Prawda tego dnia było jakoś krucho, dopiero ze sobą niosłam trochę lepsze posilenie, prawda! Ale co komu powiadać o tem i to jeszcze praczce! Rzucę ja się na schody, ciemno, nogi mi się trzęsą, tylko ściany szukam, żeby się zeprzeć trochę, a matka:

— A czy to te, co w kruchcie siedzą, nie lepiej mają? Lepiej mają! Może mi pani na sumienie zawierzyć, że lepiej!

Słucham ja, wary na mnie biją, zesłam ze schodów, sień długa, ciemna, drzwi szukam, a tu znów głos matki:

— E... Jabym się pani z jedną rzeczą zeznała.... Tylko że się córki boję! Córka moja strasznie pyszna! strasznie ambitna!

A tamta:

— A jakże, wiem! Hrabina!...

Słucham ja tego, proszę pani, idę a myślę, że ta sień ciemna nigdy się nie skończy. Że już tak zawsze będę nią szła, szła całe życie...

Duszność mnie ogarnęła, ciężkość taka, taki ucisk w sercu...

A matka już ciszej:

— Jak pani będzie kiedy u Bernardynów, to niech tam pani powie tej kulawej Barbarze, żeby...

Zaczęła szeptać, a ja też ani słuchać, ani iść dłużej, nie mogłam. Oparłam się plecami o tę wilgotną ścianę, stoję, a czuję na twarzy ciężkie, zimne krople. To ani nie wiem proszę pani, czy to łzy moje były, czy tak ten mur zapłakał nademną... Chciałam iść dalej do drzwi, matkę zabrać, ale taka na mnie uderzyła słabość, że kroku postąpić nie mogła. Niedługo też drzwi skrzyły, buchnęła para w sień, słyszę idzie matka, ściany się chwyta, że ciemno, aż trafiła ręką na mnie.

— Wszelki duch! kto to? — krzyknie.

— Nic, mamó, nic! — mówię. — To ja! Niech się mama nie boi! Niech mama ostrożnie idzie...

— A ty co tu, córko?.. — mówi.

— Nic, mamó! — mówię. — Zaraz pójdę. Tak mi jakoś słabo... Niechaj mama idzie już...

Poszła. Postąpiłam, podyszałam, powlokłam się na górę. Co teraz? — myślę. — Mówić, że słyszała, czy nie mówić? Biję ja się tak, proszę pani, z myślami, aż matka sama.

— Ty, córko — mówi — po sieniach nie wystawaj, nie poglądaj za mną, nie podchodź! Jaz ludźmi muszę żyć! Muszę pogadać, muszę znajomości mieć... To trudno! Ja ci tu nie będę siedziała tak całe dni sama, jak ten kruk, jak ten Samson! Człowiek do ludzi ciągnie, to darmo. Co kto woli... Ty chcesz honory utrzymywać, to sobie utrzymuj. Ale mnie, córko, nie muś! Ja nie taka ambitna, jak ty! Ja z

prostymi ludźmi chcę żyć, bo tu do mnie żadne hrabiny zajeżdzać nie będą!

Mówiła chodząc po stancyi, jedno brała, drugie kładła, suwała stołkami, ale na mnie ani razu nie podniosła oczy. A mnie też tak jakoś siły odeszły, że i słowo przemówić było mi ciężko. Podparłam głowę, siedzę, ale coraz sroższy mróz mam w kościach. Więc mówię:

— Ja się już położę, mamó! Mnie czegoś niedobrze...  
Zimno...

Złękła się, stanęła, spojrzała na mnie, postąła chwilę, aż mówi:

— No, to ja ci łóżko rozbiorę!

Co to tam i za rozbieranie było, proszę pani! W sienniku słoma na sieczkę już starta, skórzana poduszczyna a za kołdrę chustka. Ale że na sofce było jeszcze twardziej i krótko, więc mi matczyśko chciało już łóżka ustąpić. Tak wstałam, pocałowałam ją w rękę i mówię:

— Dziękuję, mamó kochana! Ja już tutaj!... Zawinęłam się, odziałam rzeczami, com je z siebie zdjęła a zaraz też febra zaczęła mnie trząść...

Trzeciego dnia dopiero poszłam do szycia, a i to ledwo. Na nic zasłałam. A choć to febra głupstwo, takem zeżółkła jak wosk.

Złękła mi się pani naczelnikowa i mówi:

— Niechno panna Florentyna kawę wypije, odpocznie i do domu wraca. Bardzo źle panna Florentyna wygląda! I jutro proszę nie przychodzić, tylko dobrze wypocząć!

Buchnęły, proszę pani, ognie na mnie, bo jutro się kończył tydzień i pieniądze miałam dostać...

Ale nic nie mówię. Przecież sama musiała jakoś pani naczelnikowa zmiarkować, bo powiada: «A może pannie Florentynie pieniędzy pilno trzeba?» A wtem, jak ona to powiada, wchodzi młodsza od kawy ze stołu zbierać i słucha... Miałam ja, proszę pani, przy słudze mówić, że

grosza przy duszy nie mam? że mi do tych paru złotych tak pilno?

— Nie! — mówię. Nie jest mi potrzeba. To już w poniedziałek, jak przyjdę.

Wyszłam i wprost do fanciarki. Miałam żakiet porządny, ale nie mogłam zastawić, bo jakżebym do domu wracała? Więc tylko chustkę włóczkową, com ją na rękę zarzuciła, od przypadku, fanciarka wzięła za pięćdziesiąt groszy. Kupiłam, proszę pani, trochę mielonej kawy, trochę cukru, pół funta mięsa, bochenek chleba, ładnie to sobie wszystko zawinęłam, tak, że wyglądało jak paczka z cukierni, i wracam do domu. Weszłam już na nasze schody, słucham, sztykuta coś przedemną; patrzę na zakręcie, baba o kuli, żebraczka. I wprost do mnie:

— Za przeproszeniem dobrodziuni! Czy też dobrodziunia nie wie gdzie tu Brońska mieszka?

Jakby we mnie nóż utknął, proszę pani! Zaraz mi w oczach błysło, że to ta Barbara kulawa, co do niej matka praczkę wysyłała. Ale taką mi Pan Bóg siłę dał, żem tylko z góry na babę spojrzała i mówię:

— Żadna Brońska tu nie mieszka! Mieszka tu pani Brońska, wdowa po urzędniku, matka moja!

— A, to przepraszam! A to pomylenie jakieś, moja dobrodziuniu! Niechże się dobrodziunia nie gniewa! Bardzo przepraszam!

Usuwała mi się na bok z kulami, aż do ściany, kłaniając się nisko.

— Nic nie szkodzi! — mówię, podniosłam głowę a że jeszcze miałam trzygroszniak, dobyłam i dałam.

Baba zaczęła dziękować, a tu zaraz, jak to między taką hołotą, jedne drzwi skrzyp... drugie drzwi skrzyp... postawali ludzie we drzwiach, słuchają, patrzą, Baba na dół sztykuta, ja na górę idę, powoli, spokojnie, jakby nigdy nic,



do klamki przecież trafić nie mogłam, tak się we mnie wszystko trzęsło...

Wchodzę, na matkę spojrzę, i tak mi się, proszę pani, nagle wydało, że mi ją jakaś wielka, jakaś ciemna moc zabrać chce, i że jej bronić muszę. Tak skoczę do niej, rękami obtulam, ściskam, całuję...

Tom dopiero wtedy, proszę pani, poznała, że choćby wszystkie myśli w inszą stronę ciągnęły — na nic! To serce zawsze z matką jest zrosnięte!

Zadziwiła się matka: Co ty — mówi — córko? A ja: Nic, mammo nic! Tu jest kawa, tu cukier, zaraz zagotuję, to się mama trochę posili...

Rzuciłam się ogień robić, przystawiłam garnczek, matce stółek do pieca przysunęłam, przysiadłam przy niej na ziemi, gotuję tę kawę, a ciągle mi tak proszę pani, czegoś jest, jakby mi się na głowie paliło.

Co gdzie w kąt spojrzę, a po kątach zawsze w stancyi mrok był, to widzę taką skuloną postać, taką szarą, jakby w pajęczyny, precz z głową, z twarzą odziana była, jak wyciąga po matkę taką długą, długą, chudą rękę... taką nagą, szarą, kościstą, precz, przez całą stancję...

Wpatrzę się w nią, to mi z oczu schodzi, podniosę od ognia oczy — jest!

A matka za memi oczyma też wzrokiem po kątach chodzi. Aż spyta:

— A co ty, córko, tak patrzysz w te kąty? Czy tam co widzisz?

— Nie, mammo, nie! — mówię. Nic nie widzę! Co mam widzieć? Niech mama nie patrzy tam! Niech mama tu na ogień patrzy! Na kawę!...

A matka:

— Bo może ty co widzisz, córko?

— Ale, mammo! — mówię — co znowu! O, już się woda gotuje! — mówię.

A matka znowu:

— Bo ja po twoich oczach miarkuję, że widzisz... Bo tobie oczy, córko, wstęp idą!

Rozśmiałam się na to i sama się tego śmiechu złąłam.

— Niechno, mama — mówię — głupstw nie powiada, tylko kawę sypie! Ostrożnie, bo skipi...

A wtem słyszę, sztykuta coś po schodach, od samego dołu. Tak myślę: jest! I zaraz mi ręce opadły, jak gdyby z ołowiu. I dotąd nie wiem, proszę pani, czego ja się złąłam? Boć przecie wiedziałam, że to ta sama baba. Nic więcej! A tak mi było, jakby nieszczęście moje szło... Jakby to wcale nie ta baba szła, tylko takie przeznaczenie moje...

Słucham, przycichło. Może też nie jeszcze! Może nie... — myślę. Ale gdzie tam! Znow sztykuta, tylko że powoli.

Tak w tej niespokojności, i żeby te kroki zgłuszyć, zaczynam ja, proszę pani, opowiadać matce jakąś niebywałą historię, trzy po trzy, głośno, coraz głośniej, a śmieję się przy tem opowiadaniu sama, choć i nic zabawnego nie było, jak warjatka. Ale i głos i śmiechy jakby nie moje, jakby obce jakieś... A co przestanę gadać na chwilę, to słyszę... słyszę... Idzie, przystaje, odpoczywa i znów idzie. Ale jakby więcej kroków teraz, jakby szepty. Tak zaczęło we mnie serce drzeć, że i mówić nie mogę. A już i matka odwraca głowę i słucha. Wtem słyszę: tutaj! I ruszył ktoś klamką.

Tak matka.

— Idzie ktoś, córko? I chce wstać do drzwi.

— Niech mama siedzi! — mówię. Sama pójdę!

Przytrzymałam ją na stołku, idę, a taka ciężka jakaś, taka sztywna, jakbym nie nogi, ale kołki miała...

Stałam we drzwiach i rękę na klamce trzymam, patrzę, praczka z suteryn. Cofnęła się, chowając pod fartuch ręce czerwone, mokre, od waru jeszcze dymiące... Za nią też